

## **BAR ŚWIĘTEJ KREWETY**

Osoby:

WŁAŚCICIEL BARU (Przewodniczący jury, Ksiądz proboszcz)

MŁODY SZEFE KUCHNI (Chomik Dżastin, Młody biskup)

KUCHARKA (Chomik Samanta, Siostra zakonna)

BYŁY SZEFE KUCHNI (Chomik Maksi Wład, Ministrant)

OCHRONIARZ BARU (Członek jury, Kościelny)

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KLIENTÓW (Grupa Wiernych)

plus niewidoczny TŁUM WYGŁODNIAŁYCH ALIENÓW

1.

KUCHARKA: Słoneczny poranek. Czas pierwszych kaw i psich kup na trawnikach. Czas zatłoczonych autobusów, korków, spikerów radiowych o ustach wypchanych prognozą pogody. Bar mleczny. Rzeńskie powietrze wślizguje się przez uchylone okno niczym cytrynowo-światlisty wąż.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Środek maja. Początek dnia. Choć niejedni modli się o jego koniec.

WŁAŚCICIEL BARU: Właściciel baru przegląda najnowszy numer „Esquire’a” i pali slima w pozie gastronomicznego macho. Wielka torba leży przy jego nogach.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Nie jesteśmy klasą średnią.

KUCHARKA: Ani tym bardziej inteligencją. Jednak skądś – nie wiedzieć skąd – wiemy, że torba jest strzelbą Czechowa. Musi wypalić.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Wiadoma rzecz, torba Czechowa.

WŁAŚCICIEL BARU: To niespodzianka. Gotować, gotować!

MŁODY SZEFE KUCHNI: Młody szef kuchni odprawia autoerotyczny taniec do „Justify my love” Madonny. Młody nie do końca jest młody, bo kto z młodych słucha Madonny. Młodość to retoryczna figura. Do wieku, biologii mają się jak wanilia do ogórków kiszonych.

WŁAŚCICIEL BARU: Oto pięćdziesiąt metrów kwadratowych mojej własności. W kuchni barowej, w nieusuwalnej marynacie spalonego oleju pracuje trójca kuchenna: szefowie były i młody oraz kucharka. Należą do mnie.

KUCHARKA: Jego jedna kucharka to ja. J a ? Wciąż muszę to sobie powtarzać. Bo nie jestem pewna, bo nigdy... Ja?... Ja... Ja... Kiedyś byłam jego ko...

WŁAŚCICIEL BARU: Kobieta? Konkubina? Kochanką?... A może kurwą, kurą, kumpelą? Śmieje się. Kobiety los to ciąg wyrazów bliskoznacznych.

KUCHARKA: Co innego młody szef. Nowe pokolenie. W osiemdziesiątym dziewiątym walił już w pampersa, nie w tetrę. Gdzie nie spojrzy, widzi lustro. Jak ja mu zazdroszczę jego ego. Gdzie on widzi lustro, ja uderzam o szybę.

MŁODY SZEFE KUCHNI: I wanna kiss you in the kitchen  
I wanna hold your hand in the bar  
I wanna run naked in a restaurant  
Make love in a train country WARS  
Please, you strip my apron kitchen  
So now what, so now what

Wanting, needing, waiting  
For you to justify my love (my love, my love)  
Hoping, praying  
For you to justify my love

BYŁY SZEFE KUCHNI: Były szef kuchni szepcze boleśnie: nie mogę na to patrzeć! Boże, jak suszy! Jak chce się pić. Dopada do kranu. Pies z przekrzywionym łbem.

KUCHARKA: Byłego mężczy kac! Nie trzeba było wczoraj. Nie trzeba było tyle chlać.

BYŁY SZEFE KUCHNI: To z bólu i krzywdy. To z niesprawiedliwości. Ten młody...  
Tak otwarcie, bezczelnie... Aż bolą oczy. Jego kuchenny fach ma coś z...

WŁAŚCICIEL BARU: Metafizyki.

KUCHARKA: Przemocy.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Coś z pornografii.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Wanting, needing, waiting  
For you to justify my love (my love, my love)  
Hoping, praying  
For you to justify my love

WŁAŚCICIEL BARU: Były nie umie ukryć zawodu. Wczoraj zdegradowałem go do  
roli trzeciego kucharza. To dlatego ten kac.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Cholera jasna! Żeby tak przestał odróżniać marchewkę od  
groszku... Trzeci, przede mną nawet ona, kucharka. Wstyd, hańba, kanał!

KUCHARKA: Obrażacie mnie. Trzydzieści lat, a nie zdążyłam się przyzwycząić...

WŁAŚCICIEL BARU: Na twoje miejsce, na jedno pstryknięcie i dziesięć młodszych.

KUCHARKA: Ja nic innego... W pracy, w domu i w snach. Taki na przykład sen: z  
chochlą na ramieniu pełnię straż przy Grobie Przypalonego Garnka. Twarz całą mam w  
maskujących kolorach mąki i bułki tartej. Pilnuję, żeby pod Grób nie zakradł się Wróg-  
Głód. Raptem zjawia się, ale mój synek:

BYŁY SZEFE KUCHNI: Chodź do domu, mamusiu. Już wieczór, mamusiu!

KUCHARKA: Ale ja słowa nie mogę wykrztusić. Stoję. Chciałabym mu wytłumaczyć,  
że są na tym świecie dzieci, które nie mają co jeść, są matki, które nie mają co włożyć  
do garnka. Ale nic. Cisza-buzia-kłódka. Po synku przychodzi mąż:

WŁAŚCICIEL BARU: Do domu! Mało masz garnków?!

KUCHARKA: W tym rzecz, żeby nie myśleć wyłącznie o własnych garnkach. Ale nic.  
Zasnurowane usta. Mąż znika. Zjawia się kochanek, piękny jak George Clooney:

MŁODY SZEFE KUCHNI: Pójdź ze mną na wrzosowisko i zapomnij wszystko.

KUCHARKA: Gada Starym Dobrym Małżeństwem, aż mi kegla mrowieje.

MŁODY SZEF KUCHNI: Nie pójdiesz, znajdzie się inne wrzosowisko, będę dla innej Clooney'em.

KUCHARKA: A ja wciąż ani słówkiem... Mocniej zaciskam palce na chochli. Łykam ciemną łzę jak zagasłą gwiazdę. Taki sen.

BYŁY SZEF KUCHNI: Co na to Jung? Albo Freud?... I zaraz były szef dodaje na boku: Tfu, skąd mi się wzięły te nazwiska? To ten piekielny kaca sprawia...

KUCHARKA: Niczego o mnie nie ma w psychoanalizie.

MŁODY SZEF KUCHNI: Wanting, needing, waiting  
For you to justify my love (my love, my love)  
Hoping, praying  
For you to justify my love

OCHRONIARZ BARU: Ochroniarz baru wnosi pełne siatki owoców, mięs oraz warzyw. Jak to się mogło stać?... Jak?... Zostawia sprawunki w kuchni. S p r a w u n k i ?... Dziwaczej w tym barze. Gdyby kumple z siłki słyszeli...

MŁODY SZEF KUCHNI: Wanting, needing, waiting  
For you to justify my love (my love, my love)  
Hoping, praying  
For you to justify my love

WŁAŚCICIEL BARU: Palce lizać! Lepszy jest niż niejeden króliczek „Playboya”.

OCHRONIARZ BARU: Skończyłem z wyróżnieniem jedną z najbardziej elitarnych siłowni. Stałem na bramce w największych dyskotekach świata. W rytm techno spuszczałem wpierdol gówniarzom, wywlekałem naćpane panienki, czyszcząc ich włosami stroboskopowe parkiety... Byłem urobiony po pachy... A dzisiaj?...

KUCHARKA: Siedzimy na tykającej bombie, o której trajkoczą socjologowie...

WŁAŚCICIEL BARU: A żebyś wiedziała! Dlatego przeprowadzamy rewolucję, żeby uprzedzić nadzieje wygłodniałych Alienów. Słyszeliście o nich pewnie.

BYŁY SZEF KUCHNI: O niczym innym nie trąbią media.

KUCHARKA: Podobno ciągną ze wszystkich stron świata. Lądem, morzem, powietrzem. Pieszem i wpraw.

OCHRONIARZ BARU: Jak to się mogło stać?... Jak?... To dowód kryzysu na rynku siły. Fuck, ocieram się o prekariat! Moje mięśnie flaczeją i cios pewnie słabszy...

WŁAŚCICIEL BARU: No właśnie. Lądem, morzem, powietrzem, a tu? Dylematy, rozterki?... Wokoło skwierczy, bulgoce i bucha! Na patelniach fauna z florą oddają ducha, skąpane w gęstej symfonii sosów! Noże, tłuczki, blendery. Tarki, trzepaczki, miksery tworzą orkiestrę smaku godną filharmoników wiedeńskich. Czego chcieć więcej?... Klientów?... Będą klienci, ale nie barbaria.

BYŁY SZEF KUCHNI: Boże, jak suszy! Zaraz wyzionę ducha...

MŁODY SZEF KUCHNI: Ten bar, przeżarty wulgarnymi jadłospisami pierogów i placków, wyniosę na sam szczyt glamouru i highlife'u. Ja Anja Rubik Gorgonzola jestem, ja – Kate Moss Ravioli, ja – Miranda Kerr Trufla!

WŁAŚCICIEL BARU: Ach! Jest p r o f e s j o n a l n y... Jest v e r y e k s a j t i n g !

BYŁY SZEF KUCHNI: Były szef kuchni nie może dojść do ładu z własną potrawą, więc zwraca się do kucharki: co robisz?

KUCHARKA: Ja tylko woda, mąka, sól, jajka. Woda, mąka, sól, jajka.

BYŁY SZEF KUCHNI: Dzisiaj przypaliłbym nawet wodę. No, nie, kuuurwa!...

WŁAŚCICIEL BARU: Ty mi tu mięsem nie rzucaj! Każdy ma podać coś ekstra.

OCHRONIARZ BARU: Może mu przyjebać?... Nagle zamyśla się: dziwne, gdybym był postacią z komiksu, nad głową powstałby biały dymek. Czyż życie nie byłoby uczciwsze, gdyby wszyscy chodzili z komiksowymi dymkami myśli?

WŁAŚCICIEL BARU: Nie trzeba, jego czas minął. Masz slima. Strzel sobie dymka.

OCHRONIARZ. Dziękuję. Ostatnio tak dobrego slima paliłem nigdy.

KUCHARKA: Wegetuję w starzejącym się ciele coraz bardziej obcej kobiety. Całe życie utopione we wrzątkach i smalcach. Moje kubki smakowe są starte, moje ciało prześmiardło czosnkiem, cebulą, burakiem, a ogień rozpala wyłącznie pod kuchnią.

OCHRONIARZ BARU: Jakbym słyszał moją byłą napakowaną „Wysokimi Obcasami”.

WŁAŚCICIEL BARU: Z młodym to jedyna rewolucja, która musi się udać.

MŁODY SZEFE KUCHNI: A pewnie. Stare baby i starzy szefowie są poza rewolucjami.

WŁAŚCICIEL BARU: Rewolucja jadła, rewolucja żarcia. Dwadzieścia pięć lat na nią czekałem, prowadząc lichą garkuchnię, której godłem były mielone.

KUCHARKA: Mielone raz! Zasmażka, kapustka, ziemniaczek...

WŁAŚCICIEL BARU: Daj spokój. Wystarczy.

KUCHARKA: Podchodzili w równiutkiej kolejce. Brakuje mi dzisiaj ich wszystkich: zgłodniałych, zabiedzonych inteligentów...

WŁAŚCICIEL BARU: Powiedziałem, wystarczy!

KUCHARKA: Robotników przed nocną zmianą, urzędników niższego szczebla, awangardowych artystów, lokalnych poetów, rozwodników nie śmierdzących groszem, pochylonych nad zupą z abonamentu. Byłam ich matką kuchenną.

WŁAŚCICIEL BARU: Gadanie! Żyliśmy w ordynarnym kłamstwie schaboszczaka. A dzisiaj jeszcze te hordy głodnych nierobów. Ale uda się. Przysięgam. Już czas.

KUCHARKA: Oho, wypala strzelba Czechowa.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Właściciel baru sięga po torbę i zwraca się do ochroniarza.

WŁAŚCICIEL BARU: Chodź, pomóż.

OCHRONIARZ BARU: Wyjmuje dwie pompki i gumowe lale złożone w kostkę. A to, co? Bar mleczny zmieniamy w sex shop?

WŁAŚCICIEL BARU: Dmuchaj, nie gadaj, sadzaj na krzesłach. Zaraz otwieramy.

KUCHARKA: Zaczynają pompować lale i kolejno sadzają je przy stolikach.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Zgroza. Absurd. Herezja.

KUCHARKA: Właściciel baru należy do tych mężczyzn, co przy dmuchaniu nie potrafią milczeć. Dmucha, gadając. Gada, dmuchając.

WŁAŚCICIEL BARU: Wyjawię wam coś, o czym nie śniło największym gastronomom: trzeba raz na zawsze odrzucić kapryśną naturę człowieka, któremu wciąż mało i mało.

OCHRONIARZ BARU: Chuch, dmuch w lalę powietrze!

MŁODY SZEF KUCHNI: Na mnie. Na mnie niech patrzą.

WŁAŚCICIEL BARU: Od kiedy żyjemy w przelewającym się zewsząd nadmiarze, musimy wykorzystać nieskończoną płodność konsumpcji, jej moc niewyczerpaną.

OCHRONIARZ BARU: Chuch, dmuch w lalę powietrze!

MŁODY SZEF KUCHNI: Tu, do mnie, w moją stronę.

WŁAŚCICIEL BARU: Bo w samym środku buchającej konsumpcji, tam gdzie kończy się hedonizm, a zaczyna ludzka niestrawność, kształtują się niewyraźne uśmiechy, zawiązują napięcia, rodzi się nieznane dotychczas życie. Cała materia faluje od nieskończonych możliwości, przelewa się w sobie bez końca i musi mieć ujście. Ona przyjmuje kształt metabolicznej kukły – zje, trawi, wydała, nie chce być niczym więcej.

OCHRONIARZ BARU: Chuch, dmuch w lalę powietrze!

MŁODY SZEF KUCHNI: Niech ich wzrok przesywa mnie na wskroś!

WŁAŚCICIEL BARU: Pozbawiona własnej woli lalka dmuchana, lubieżnie uległa, podatna jest idealna. Jednym słowem: oto powołujemy do życia nowy typ konsumenta – na obraz i podobieństwo człowieka.

OCHRONIARZ BARU: Chuch, dmuch w lalę powietrze!

MŁODY SZEF KUCHNI: Człowiek jest nam niepotrzebny. Z jednej strony bulimia, z drugiej anoreksja, a pomiędzy nimi – pustka.

BYŁY SZEF KUCHNI: No, nie... Coś takiego mam karmić?

KUCHARKA: Wiele w kuchni widziałam, ale... Dokąd zmierza nasz bar?

WŁAŚCICIEL BARU: Ku samowystarczalnym światom. Oto klient nowych czasów!

MŁODY SZEFE KUCHNI: Jego procesy metaboliczne są przewidywalne. Jego stolce wzorcowo czyste, w stylu fitness. A jego wątroba wygrywa czillały na moją cześć. Nowy klient jest czwartą tajemnicą Fatimską współczesnej gastronomii.

KUCHARKA: Nagle cisza. Kucharka zastyga nad deską lepkiego ciasta. Mnie od wielu lat nikt nie dmuchał. Moje dłonie pieszczą wyłącznie wieprzowinę z wołowym. Moje piersi i szyję otula jedynie para z kipiących rondli...

OCHRONIARZ BARU: Ta znowu swoje.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Pieprz i sól to stanowczo za mało dla naszej epoki. Dość mam już bajek o niedożywionych dzieciach. O Trzecim Świecie i pegieerach. O przybłędach, mieszańcach, brudasach. Nasz bar ich przerasta.

WŁAŚCICIEL BARU: Idealnie powiedziane! Mógłbym go słuchać bez końca...

BYŁY SZEFE KUCHNI: Słucham, nie wierzę.

OCHRONIARZ BARU: Chyba mu jednak przyjebię?

WŁAŚCICIEL BARU: Zostaw, lepiej pilnuj, żeby nikt obcy nie wszedł. Nam niepotrzebny nikt z zewnątrz. Mów: wszystkie stoliki zajęte. Mów: nie ma miejsca.

OCHRONIARZ BARU: W łeb! I w łeb! Nie ma miejsca. Wszystkie stoliki zajęte.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Nie prościej drzwi zamknąć na klucz?

WŁAŚCICIEL BARU: I tu się mylisz. Nasz bar jest barem otwartym! To musi być widać z ulicy. Zresztą, co ja ci będę tłumaczył. Zaczynamy. Co przygotowaliście?

KUCHARKA: Jestem kawałkiem gnijącego mięsa.

2.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Wynajęte, puste mieszkanie. Przewodniczący jury nie lubi pustych mieszkań. One nie dają wyboru. A brak wyboru jest wbrew jego naturze. Urodziłem się, żeby wybierać.



CZŁONEK JURY: To gra znaczonymi kartami. Dobra dla naiwnych.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Butelka Whisky, papierosy, członek jury. Żeby puste mieszkanie podzielić na dwóch. Chyba popołudnie. Grube zasłony w oknach.

CZŁONEK JURY: Zwycięzcy zwyciężają, przegrani są zawsze przegrani. Nuda. Spleen. Melancholia... A ja bym inaczej chciał. Wiesz, sam nie wiem... bardziej nieprzewidywalnie? Żeby ktoś tym wszystkim porządnie potrząsnął.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Czasami myślę, że jestem jedynym człowiekiem na świecie. Co z tego, że potrafię wybierać, osądzać, oceniać?

CZŁONEK JURY: Byle amator wie, że palenie szkodzi, że razowy zdrowszy od pszennego, że botoks, silikon lepsze od starości, że wino białe do ryb, czerwone do mięs, że trzeba się trzymać z dala od wojen i uprawiać sporty.

PRZEWODNICZĄCY JURY: A w duszy coraz ciężiej.

CZŁONEK JURY: Świat to banalny quiz.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Dlatego wynająłem to mieszkanie. Trzymam w nim... sam zobacz... Maksi Wład, Samanta, Dżastin. Małe takie, ładne, futrzaste, biało-brązowo-czarne. Chomiki. Kiedy jest mi źle, przychodzę tutaj. Wyjmuję je z klatki, wymyślam konkursy, nagradzam ziarnem. Wybierz, którego chcesz.

CZŁONEK JURY: Dżastin, Samanta...

PRZEWODNICZĄCY JURY: I Maksi Wład.

CZŁONEK JURY: To może ten. Mój dziadek na imię miał Władysław. Ruscy zakatowali go w czterdziestym piątym.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Masz, dotknij, pomacaj. Nawet do ręki weź. Najważniejsze to mieć gdzie po pracy pójść, do kogo przytulić się, odezwać.

CZŁONEK JURY: Lubię bezbronne zwierzątka. One mnie rozczulają.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Robię z nimi wszystko. Wszystko, rozumiesz?... Na przykład wsadzam Maksi Włada do kołowrotka... Chcesz popatrzeć?

CZŁONEK JURY: Człowiek powinien mieć jakieś zwierzątko. Dawaj.

CHOMIK WŁAD: Jestem starzejącym się chomikiem po przejściach. Zabawiam przewodniczącego jury, spełniam jego zachcianki, choć głowa zaprzątnięta myślami o zmarnowanym życiu w jednym, tym samym sklepie zoologicznym od urodzenia, o ratach, kredytach, o przyszłości dorastającej córki i marnych zapasach w policzkach.

PRZEWODNICZĄCY JURY: No, biegnij, Maksi Wład. Pokaż, co potrafisz!

CHOMIK MAKSI WŁAD: Innym chomikom poszczyło się bardziej. Słyszałem coś o kruchych kalarepach, egzotycznych ziarnach, soczystych bakłazanach, o drogich wakacjach na wyspach Bahama. A ja? Całe życie na kołowrotku.

CZŁONEK JURY: Jakiś osowiały jest, chyba stary.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Nie, starego tylko udaje, leniuszek jest. Trzeba szturchnąć. Palnąć w ucho. Rozrusza się.

CZŁONEK JURY: A mogę?

PRZEWODNICZĄCY JURY: Po to je trzymam. Chomiki są dobre na samotność.

CZŁONEK JURY: Dawaj, dawaj, Maksi Wład! Trzy, dwa, jeden, start!

CHOMIK MAKSI WŁAD: Co noc przebieram łapkami, bo nie mam wyboru. Gnam przed siebie, atawistycznie nastawiony na cel. Ale gdzie cel? Wszystko kręci się w zawrotnym tempie. Początek jest końcem, koniec – początkiem. Zmieniają się gusta, rządy, epoki. Piękno przechodzi w brzydotę, brzydota w piękno.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Poskutkowało. O, widzisz, widzisz, jak zapierdala?

CHOMIK MAKSI WŁAD: Co złe wczoraj, dziś – dobre. Historia jest córką mody. Pamiętam jeszcze czasy, gdy chomiki chodziły w dzwonach, słuchały Abby, a homoseksualizm był karalny. Tylko ten kołowrotek jest niezmienny, ten opętańczy bieg. Za kroplę wody, za garstkę siana.

CZŁONEK JURY: E, to super jest. Nie ma wyboru, musi. Jeszcze podkręcę!

CHOMIK MAKSI WŁAD: Innego życia nie mam. Innego nie znam. Tylko bieg w przyśpieszającym, drucianym kole. Za kroplę wody, za garstkę siana – homeostaza. Nie wiem, co jest tresurą, a co instynktem.

CZŁONEK JURY: Szybciej, szybciej! O zobacz, ledwo się wyrabia. Niesamowite!

PRZEWODNICZĄCY JURY: A podrzuć mu krzesło. Niech ma bieg z przeszkodami.

CZŁONEK JURY: Gra znaczonymi kartami. Nuda jest rozgrzeszeniem. Szybciej! Szybciej! Krzesło to widać za mało. Zwiążmy mu tylne łapki, jak myślisz? Żeby nie było za łatwo.

PRZEWODNICZĄCY JURY: A proszę cię bardzo. Masz, pasek od spodni. Możemy też opaskę na oczy. Daj krawat.

CZŁONEK JURY: No, chomik, hande hoch! Pasek od spodni, krzesło, krawat-opaska. Hop i hop, hopsa. A teraz, uważaj, zapalniczka i ogień. Boi się ognia?

PRZEWODNICZĄCY JURY: Co ty? To tresowany Maksi Wład. Chomik-małpa.

CZŁONEK JURY: Biegnij, chomik, biegnij!... Śmiało, od czego masz przednie. Pstryk, pstryk, przez ogień, przez krzesło skacz.

PRZEWODNICZĄCY JURY: A tu kop na zachętę! Z buta go, z buta!

CHOMIK MAKSI WŁAD: Gnam przez przeszkody, omijam płomienie, czując swąd palonego futerka. Już brak mi tchu, łapki mam poparzone, ale gonię – w piętke, w ciemności, w kółku, w kółko przed siebie. Taki chomiczy los. Nie krzyczę, kwilę ledwie. Byle do emerytury, byle do emerytury, z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc.

CZŁONEK JURY: Ty, była płonąca żyrafa, ale płonący chomik, to chyba nie? Zaraz się sfajczy. Swoją drogą, ty tu tak, z chomikami w pustym mieszkaniu...

PRZEWODNICZĄCY JURY: Okej, wystarczy, ma dość. Zgaś. Samanta i Dżastin się wystraszą.

CZŁONEK JURY: Szkoda.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Przed nami jeszcze cały wieczór i noc.

CZŁONEK JURY: Masz, chomik, papierosa w nagrodę. Pal, zasłużyłeś. Może szklaneczkę łykacza? Z kolą czy bez?

PRZEWODNICZĄCY JURY: Nie lubi koli. Po koli rzyga.

CZŁONEK JURY: Skoro tak... Oby ci kołowrotek lekko się kręcił. Co tak stoisz. Pij, mówię! Do dna. A tu, na drugą łapkę. Kurczę, muszę sobie takiego sprawić.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Przewodniczący jury łapie ostrość w pijanym, rozmazanym obrazie. Powiedz mi: ile chomików zabawieś w swoim życiu na śmierć?

3.

WŁAŚCICIEL BARU: Jest chętny? Ktoś chce zacząć pierwszy?

OCHRONIARZ BARU: Kucharka. Miała tyle pretensji.

WŁAŚCICIEL BARU: Niech będzie.

KUCHARKA: Trzydzieści lat, a wciąż ta sama obawa – byleby nie pomylić kroków. Byleby dobrze wypaść i nie popełnić błędu.

WŁAŚCICIEL BARU: Błagam, szkoda czasu. Przecież to twój nie pierwszy raz.

KUCHARKA: Już, już, a więc, po kolei: białe, fartuszkowe wdzianko. Kabaretki. Szpileczki. Botoksowe usta *á la* Murzynka i podpięte do nosa. Silikonowy biust. Przeszczep policzków od ucha do ucha. Sztuczne rzęsy. Podwiązane pośladki. Depilacja miejscowa – pachwowa i pachwinowa.

OCHRONIARZ BARU: I dobrze. Najgorzej to znaleźć włos w zupie.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Na razie standard. Znam takich tysiące. Liftingowanych, tiuningowanych w osiedlowych spa. Co przygotowałaś?

KUCHARKA: Taniec. Taniec z makaronen Boa.

WŁAŚCICIEL BARU: W tym wieku, odważny wybór! Wysoko mierzysz. Zobaczmy.

OCHRONIARZ BARU: Kucharka zaczyna tańczyć. Makaron owija się wokół jej szyi, z ramion opada na pierś falującą, gorącą. Kucharka gnę się, wypręża... G n i e s i ę , w y p r ęż a – powiedziałem.

KUCHARKA: Już, tak. Gnę się, wyprężam, przepraszam.

OCHRONIARZA: Stanowiąc z makaronowym węzem jedność. Ona i on to jedno. Ying-yang.

KUCHARKA: Ze śmietaną, cukrem i truskawkami. Dla niedożywionych dzieci.

WŁAŚCICIEL BARU: W dzieciństwie każdy to jadł. Nie tego chcemy.

OCHRONIARZ BARU: Jej ręka jest makaronowym węzem. Makaronowy wąż jest jej ręką. Aż trudno rozróżnić, oddzielić. Pełne zespolenie. Wąż wpełza pomiędzy piersi, a kucharka odchyła głowę i przymyka oczy w rozanieleniu.

KUCHARKA: Z klopsikami i koperkiem. Dla zakochanych, głodnych miłości.

WŁAŚCICIEL BARU: Winegret? Nie rozśmieszaj mnie. Co to? Praca domowa z gastronomika? Nie jesteśmy byle jadłodajnią. Nieprawdaż?

GRUPA DMUCHANYCH LAL KONSUMENTÓW: -----

OCHRONIARZ BARU: Wąż wsuwa się między lekko rozchylone uda tancerki. Napełnia ją dreszczem. Oplata pośladki, wędruje ku górze wzdłuż brzucha jak nabrzmiała, wijąca się pępowina.

KUCHARKA: Aldente. Idealny z sosem bolognese. Albo na rosół niedzielny dla biednych rodzin, dla ojców, matek i dzieci z nizin społecznych.

WŁAŚCICIEL BARU: Precz z nizinami! Daj z siebie coś więcej! No, odważniej! Może jakaś obscena, jakiś skandal w stylu kuchni noire?

OCHRONIARZ BARU: Bo zaraz ci ziewnę. Skandal?... Mamy i skandal. Kucharce, o-je-je-jej, a-ja-ja-jaj, odpada szczeka i g ó r n a w a r g a. Ust, żeby była jasność. Ochroniarz baru wykrzykuje to, o czym myślą klienci: obrzydlistwo, frenezja.

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

OCHRONIARZ BARU: O-jo-jo-joj! Nie można patrzeć! Zaraz się cała rozpadnie.

WŁAŚCICIEL BARU: Rozsypie się, rozleci cała. Nie tylko warga i szczeka. Już szwy pękają starej na tyłku, przy uszach. Jak nic, skandal. Tyle że skandal-żenada.

KUCHARKA: Sastykam f pokracznej, żałośnie nieporatnej posycji, s makaronem na plesach. Jakpy słał mnie skurcz i nie puszczał. Jakpy fasz Boa mnie tusił.

WŁAŚCICIEL BARU: Biologii i kuchni nie oszukasz. Liczą się tylko dobre produkty.

KUCHARKA: Boję się, sze się rospadnę. Sze szwy szeczywiście puszcza, sze opatnie potoks, sflaczeje silikon... Ale jak?... Ale po so? Ja tylko fota, mąka, sól, jajka. Mieszam, ściskam, fyrapiam. Miętołę, masuję, ukniatam. Fota, mąka, sól, jajka. Ot rana do fieczora, od fieczora do rana. Ja nie... nis fięsej.

WŁAŚCICIEL BARU: Popatrz: czy widzisz choć jeden uśmiech, choć jeden gest aprobaty?

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

OCHRONIARZ BARU: Zabieraj ten strzęp i szczękę. Następny – były szef kuchni.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Czterdzieści trzy lata. Mentalny wąs sprawia, że może mieć więcej. Kiedyś mentalny wąs był zaletą, dziś jest wadą-żenadą. Kucharz po przejściach i po zakrętach. Organizm zdemolowany wódą i nadciśnieniem. Fartuch w plamach. Plamista abstrakcja w stylu Jacksona Pollacka. Na głowie czapa. Czapa kucharska.

WŁAŚCICIEL BARU: Oho, ktoś tu robi stylówę z malarstwa.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Jakoś tak samo się powiedziało. Przepraszam.

WŁAŚCICIEL BARU: Co pokaże?

BYŁY SZEFE KUCHNI: Performens rozwodników: martwą naturę z jajecznicą.

OCHRONIARZ BARU: Oho, kulinarne dziedzictwo Peerelu.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Raczej Vermeer samotnych śniadań. Były szef jest zdumiony samym sobą: kolejne, nieznane nazwisko? Czy można być naturszczykiem-erudytą?

WŁAŚCICIEL BARU: Tamta – jaja, ten – jaja. Bez jaj, już nic innego nie umiecie przyrządzić? Kolejny numer z brodą. Barbara tylko na to czeka.

OCHRONIARZ BARU: Były szef kuchni przemierza wybieg między stolikami a ladą pradawnym krokiem Naomi Cambell. Wspina się na palcach, imitując wysoki obcas. W dłoni – talerz, jajecznicą – na talerzu.

WŁAŚCICIEL BARU: Talerz wyżej! Biodra rozkołysane bardziej. Boże, niech on coś zrobi z tą twarzą. Co to za twarz! Podobna do pierwszego z brzegu kucharza. Ja chcę mieć tu twarz mainstreamową. Twarz jak ze ścianki i z pierwszych stron gazet.

OCHRONIARZ BARU: Były szef kuchni przystaje przy widowni.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Rozpad pożycia, separacja i rozwód. Wysokie alimenty i niedzielne spotkania z dziećmi na lodach. Stąd tylko dwa jajka, kapka masła i sól. Kromka przedwczorajszego chlebka na pociechę.

WŁAŚCICIEL BARU: A gdzie tu fantazja, gdzie wyrafinowanie? Żyjemy w cudownym nadmiarze, a ten mi zaszuwa standardem. Słoma ci z fartucha wystaje.

OCHRONIARZ BARU: Były szef kręci biodrem, po czym robi dwa seksowne w jego mniemaniu przysiady i zastyga z talerzem na amen.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Mówi: oto ja – Marek Hłasko przegryzający samotność, Edward Stachura przetrąconej pojedynczości. Ta jajecznicą jest emanacją samotności.

WŁAŚCICIEL BARU: Daj spokój, człowieku... Rewolucja glamour zobowiązuje. Tamta połamana w dziesięciu miejscach, a ten... Podobało się? Nie podobało.

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

OCHRONIARZ: To co, wypad? Jesteśmy na „nie”. Czas na młodego szefa kuchni.

WŁAŚCICIEL BARU: Oj, tak, oj, tak. Młody szef. To niepojęte: na sam dźwięk słów „młody szef” odkrywam w sobie operowe przegięcie. Czuję dreszcze i pachwinowy zew: młody szef, młody szef! On baru efeb oraz lew. Młody szef, młody szef. Na naszych klientów lep!

OCHRONIARZ BARU: Młody szef, młody szef... Tfu!, i mnie się udziela... Młody szef pojawia się z ogromnym futerałem, pomiędzy rozsypaną kucharką, a byłym.

WŁAŚCICIEL BARU: Młody szef, młody szef. Aż mi buzuje krew! Młody szef, młody szef, aż w kroku rwie się szew!

MŁODY SZEFE KUCHNI: Haj, ciacha, haj foczki!

OCHRONIARZ BARU: Młody szef kuchni zwraca się do dmuchanej widowni. Jest boski. Ni Deep, ni Pitt, ktoś o wiele więcej. Jego basowy głos jest podprogowy. Wszystkim lalom stają dęba łonowe włosy.

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

WŁAŚCICIEL: O, już jest zarąbiście.

MŁODY SZEF KUCHNI: Powiedziałem: haj, ciach, haj foczki? Jesteście tu?

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

WŁAŚCICIEL BARU: Haj!!!

MŁODY SZEF KUCHNI: Głośniej! Nie słyszę. Zróbcie hałas!

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

WŁAŚCICIEL BARU: Haj!!! Haj!!! Jeszcze chwila i zdejmę majtki przez głowę.

MŁODY SZEF KUCHNI: Kocham was! Jesteście najlepszymi klientami w tym barze. Zanim zaczniemy, musicie wiedzieć, że w kuchni debiutowałem jako pięciolatek, w tym samym wieku Mozart skomponował swoje pierwsze dzieło. Przygotowałem truflowe bezy na wielkanocne święta. Rodzina była wniebowzięta. Byłem pewien, że Jezus tylko po to zmartwychwstał, by zjeść moją bezę po Rezurekcji.

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

WŁAŚCICIEL BARU: Jest zajebiście. Jest w pytę. Mówiłem: gastronomia metafizyczna! Epifania arystokratycznego żołądka.

MŁODY SZEF KUCHNI: Później uczyłem się w paryskiej Ecole de Fromage, następnie były studia w Tokio na akademii Bigosoto i praktyka w londyńskim Kornisztown. Jak sami widzicie, moje ciało jest molekularne z elementami fusion i vege. Trochę metro, trochę drwala, trochę normalsa i dawnego Emo – wszystko w idealnym generacyjnie balansie.

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

WŁAŚCICIEL BARU: Urodzona gwiazda! Yves Saint-Lorent garnka!

OCHRONIARZ BARU: Młody szef zdejmuje fartuch, pozostając wyłącznie w kucharskiej czapce. Jego ciało jest idealne, o brzoskwiniowej barwie. Widząc to ciało Fidiasz i Michał Anioł musieliby raz jeszcze zdawać na ASP. To ciało zapiera dech, cały bar odchodzi od zmysłów.



GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

WŁAŚCICIEL BARU: Ósmy cud świata!

OCHRONIARZ BARU: Jeszcze do niedawna rześkie powietrze tężeje. Młody szef kuchni łowi wzrokiem właściciela baru.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Będziesz mi jadł z ręki. I więcej.

WŁAŚCICIEL BARU: Już jem. Jem, co zechcesz. A ze mną oni wszyscy.

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

OCHRONIARZ BARU: Młody szef kuchni, rzucając biodrem, zbliża się do futerału. Otwiera wieko...

WŁAŚCICIEL BARU: Och! Ach!

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KONSUMENTÓW: -----

KUCHARKA: O, Jeesu!

BYŁY SZEFE KUCHNI: Ożesz, ty!...

OCHRONIARZ BARU: Ja pieprzę...

MŁODY SZEFE KUCHNI: Mam dla was coś mega, to jest torpeda. Pasja Świętej Krewety. W winie czerwonym hiszpańskim.

OCHRONIARZ BARU: Młody szef kuchni wyciąga z futerału krewetę o rozmiarach dorosłego człowieka. H e t e r o c a r p u s r e d e i ! Trudna dostępna, która kubki smakowe przenosi do nieba. Na dnie futerału – butelka.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Ktoś mi pomoże otworzyć wino? Tu, proszę, korkociąg.

WŁAŚCICIEL BARU: Ja, ja! Ja otworzę. Choćby zębami!

OCHRONIARZ BARU: Młody szef kuchni chwytając krewetkę za tułów i głowę, by zaraz sprawnym, okrężnym ruchem oderwać jej tylną część. Cisza. Na sali ktoś zasiał mak.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Powiedziałbym, grobowa cisza.

KUCHARKA: Ktopy teras fleciała mucha, pyłopy słychać, jak psyka.

OCHRONIARZ BARU: Tak więc cisza, po grób, po muchy ruch. Młody szef kuchni chwytła krewetę za ogon i odchyła błyszczący pancerz. Ze środka wyciąga przewód pokarmowy, uważając, by nie przerwać delikatnej nitki jelita.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Kochani, to najważniejszy moment. Kuchnia musi działać na emocje. Powiedziałbym: na emocje pierwotne. Wino!

WŁAŚCICIEL BARU: Już, już, oto ono, proszę. Wino, winko, wineczko!

OCHRONIARZ BARU: Młody szef kuchni bierze łyk, po czym oblewa krewetę i siebie. Lśnią oboje w strumieniach głębokiej czerwieni. Głębokiej jak krew.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Jak w każdej nowoczesnej kuchni musi być krew. Dużo krwi. Oczywiście wytrawnej, żadnej innej. Patrzcie i podziwiajcie. Ja i *Heterocarpus reedei*! Będziecie jeść krewetę! A kto raz skosztuje, niczego innego nie weźmie do ust.

GRUPA DMUCHANYCH LAL-KLIENTÓW: -----

WŁAŚCICIEL BARU: Werdykt jest oczywisty. Jesteśmy ocaleni.

KUCHARKA: No, płakam, to fariat! Niech ktoś fiesie policję.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Szaleniec! Czy ten bar jest barem bez klamek? Mamy na widowni lekarza?

OCHRONIARZ BARU: Młody szef kuchni zarzuca krewetę na plecy. Okrąża stoliki. Okrąża. Co stół to stacja. Pierwsza, druga i czwarta. Droga krzyżowa nad głowami dmuchanych lal. Okrąża, okrąża. Niesie krewetę, niesie do kuchni. Wino ścieka po skroniach, szyi, po plecach, na posadzce kreśli inicjał śmierci... A tam Golgota.

KUCHARKA: Tam nosze, tuszek, fitelse...

BYŁY SZEFE KUCHNI: Tam ściana. Krzyż. Kaźń. My jeszcze w barze jesteśmy, czy już w kościele?

OCHRONIARZ BARU: Młody szef krzyżuje krewetę na ścianie kuchennej. Tłuczkiem wbija widelce w jej mięso.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Moi kochani, ofiarowuję wam danie główne naszego baru: oto świętej Krewety pasja!

WŁAŚCICIEL BARU: Na kolana! Na kolana!... Bar mój widzę ogromny.

4.

CZŁONEK JURY: Członek jury myśli: ekstra dupencja, jak nic – labadziara. Na zewnątrz przykrywa myśli słowami: ładna twoja Samanta. Może się do nas przysiadzie?

PRZEWODNICZĄCY JURY: Przewodniczący jury wie, że to gra znaczoneymi kartami. Pod słowami kotłują się myśli: nas dwóch, ona jedna. Czemu nie? Wystarczy. Dlatego zwraca się do Samanty: chodź do nas. Nie bój się. No, chodź, malutka do wujka.

CZŁONEK JURY: Ma ładne futerko i smukłe łapki. Śliczniutka.

PRZEWODNICZĄCY: No, chodź. Chodź na kolanka.

CZŁONEK JURY: Dobrze ci tutaj?... O, sianko we włosach. Wyjmę, ostrożnie. Jest.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Jeszcze się pytasz. Pewnie, że dobrze, prawda? Ma wszystko, co zechcę.

CHOMIK SAMANTA: Dobrze mi. Mam wszystko, co zechce.

CZŁONEK JURY: Zabawnie mówisz. Zupełnie jak moja babka. Skąd pochodzisz?

CHOMIK SAMANTA: Amnezja. Amnezja. Podobno pochodzę, skąd babka moja. Podobno równie jak ona mówię ze śpiewnym akcentem.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Niewiele pamięta. Trafiała do zoologicznego z ulicy. Wyrzucili ją z samochodu na ukraińskich blachach. A może na ruskich. Jeden chuj, jeden wschód.

CZŁONEK JURY: Uuu, nieszczęście. Ukraińskie chomiki mają teraz ciężkie kołowrotki. Ruskie zresztą też. No, ale tu jesteś bezpieczna. Tu jest Europa. Wujek-przewodniczący jury nie da zrobić ci krzywdy. Do mnie też możesz mówić wujku. No, powiedz, śmiało. Powiedz: wujku-członku jury.

CHOMIK SAMANTA: Wszyscy panowie, jakich poznałam w życiu to wujkowie. Nawet tata, jak miałam sześć lat, zmienił się w wujka.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Może razem coś zaśpiewamy. Jak to leciało? Chyba do melodii „Na Wojtusia”? Pamiętasz jeszcze? Stara dzieje, stara piosenka:

Na dziewczynkę z samochodu  
Wujek ładnie mruga  
Choć pokażę Ci konika  
Jego grzywa długa.

CZŁONEK JURY: No, jak mógłbym zapomnieć. Takich rzeczy się nie...:

Pojechali hen za miasto  
Tam gdzie głucha cisza.  
Wujek wziął ją na konika  
Do snu ukołysał.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Słyszysz? Piękną piosenkę wujek-członek jury Ci zaśpiewał. A pójdziesz do niego na kolanka? Idź, niech lepiej cię pozna. Mówiłem mu, jaka ty jesteś grzeczna.

CZŁONEK JURY: Super grzeczna! Zrobimy konika. Pa-ta-taj. Pa-ta-taj.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Raz on, raz ja. Fajne, wesołe pa-ta-taj, pa-ta-taj. Tak jak zawsze, tylko, że we trójkę. Wiesz, wujek-członek jury nie ma takiego chomika. Jest mu smutno. Siedzi sam w domu.

CZŁONEK JURY: Już czuję, że zostaniemy przyjaciółmi. Na zawsze. No, chodź, jaka ty duża chomiczka!... Pa-ta-taj, pa-ta-taj. Jakie masz krągłe biodra. I ładnie pachniesz, pa-ta-taj, pa-ta-taj. Ty drżysz, chomiczku. Niepotrzebnie.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Nie zapominaj o mnie Samanto. Teraz my, teraz moja kolej. Wiesz, jak lubię, prawda?... Wsuń się bardziej. Pokażmy wujkowi-członkowi jury, jak się to robi. Pa-ta-taj, pa-ta-taj. Tak jest dobrze. Jeśli cię rani zamek, powiedz. Staram się, żeby nie...

CZŁONEK JURY: Pa-ta-taj. Pa-ta-taj. A ja w sam raz, prawda. Nie za szybko, nie za mocno. Jeśli zaboli, nie wstydz się, powiedz. Zwolnię. To tylko taka zabawa. Chodzi o to, żeby razem...

PRZEWODNICZĄCY JURY: Pa-ta-taj. Pa-ta-taj. Odchyl główkę, lubię ten kosmyk, spływający za uchem. Tak lepiej. Jutro zabiorę cię na lody. Ale teraz koniki dwa. Aaaa! Na biegunach, pa-ta-taj, pa-ta-taj!

CZŁONEK JURY: Aa-a! Aa-a! Konik kary, bujany. Gna przed siebie, przez łąkę. Przez las. Aa-a! Ma gęstą, rozwianą grzywę. Pa-ta-taj, pa-ta-taj!

PRZEWODNICZĄCY JURY: Nie bój się, nie krzycz. Piękny las, łąka usiana kwiatami. Trzymaj się grzywy, nie spadniesz. Chwyć mocno rączkami. Pa-ta-taj, pa-ta-taj!

CZŁONEK JURY: Konik kary, z rozdętymi chrapami i grzywą rozwianą. Nie zamykaj oczu. Jeszcze nie czas. Aa-a! Aa-a!

PRZEWODNICZĄCY JURY: Nie puszczaj go! Pa-ta-taj, pa-ta-taj. Obejmij mocniej nóżkami, przytul się mocniej, tak mocno, aż konik z lasem i łąką zdadzą się snem.

CZŁONEK JURY: Jawa nie będzie w stanie tego galopu pomieścić. Są sny, co przerastają jawę.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Aa-a... pa... pa...

CZŁONEK JURY: Taj... Aa-a... pa... pa... taj... Pa...

PRZEWODNICZĄCY JURY: Pa... taj...

CHOMIK SAMANTA: Chomik Samanta zostawia wujków w fotelach ze swoim ciałem. Na skraju bólu, na skraju paraliżującego snu. Samanta staje niepewnie w świetle nocnej lampki, bo jego obrys jest o wiele gorszy od klatki. Samanta składa wyrazy powoli, tak jak zrastają się złamane kości: Czy można mówić, nie poruszając ustami?... Inaczej nie potrafię... Jestem brzuchomówcą, któremu zabrano lalkę wraz z jego głosem. Opowiadam swój świat, choć moją lalką, moim językiem bawią się inni. Nadają językowi obce znaczenia, każą wierzyć, że są moimi. Dlatego od dawna nie znam własnego języka. Od wielu lat, chyba od urodzenia, mówię z zaciśniętymi ustami. Boję się je otworzyć. Moje usta są raną, którą rozdrapują różnej maści wujkowie. Boję się, że wszystko, co chcę, żeby było usłyszane, okaże się ciszą. Albo zabrzmia jak kołysanka do niekończącego się snu:

Na dziewczynkę z samochodu  
Wujek ładnie mruga  
Choć pokażę Ci konika  
Jego grzywa długa.

Pojechali hen za miasto  
Tam gdzie głucha cisza.  
Wujek wziął ją na konika  
Do snu ukołysał.

Śpi dziewczynka pod igliwem  
 Śnią się sny bajkowe  
 O koniku i o wujku  
 Nikt się już nie dowie

5.

SIOSTRA ZAKONNA: Do wczoraj biskup, dzisiaj ministrant – rzadki w kościele rodzaj degradacji. Watykan zaczął się chyba liczyć z frekwencją i sondażami? Żal ministranta, żal całym mym sercem siostry zakonnej. Dobry był ksiądz. Starej daty.

MINISTRANT: Sprawdzone dzwonki, kadzidło i świece pod odwłokiem ukrzyżowanej Krewety. Ale czy serce nie pęknie z goryczy? Gdzie dawni wierni? To była moja świątynia, a teraz?... Mam potrząsać dzwonekami i podawać wino? Jak jakiś kelner?

KOŚCIELNY: Kościelny lubi zapach swojej wykrochmalonej komży zmieszany z perfumą Adidasa. Stoi w drzwiach świątyni, wygląda na ulicę i kręci przecząco głową: nikogo nie wpuszczać. Kościół już pełen, nie ma gdzie szpilki włożyć.

MINISTRANT: Co on? Przecież nikogo nie ma przed wejściem.

SIOSTRA ZAKONNA: Może i nie. Jeszcze. Ale wystarczy wsłuchać się w szum ulicy.

KOŚCIELNY: Wszystkie ławki zajęte. Nikt więcej nie wejdzie. Odejdźcie Alieny, odejdźcie odmieńcy. Słyszycie ten śpiew. Oni zostali wybrani. Wy – nie!

GRUPA WIERNYCH: -----

MINISTRANT: Na zewnątrz pusto, a ten przepędza?

SIOSTRA ZAKONNA: Pusto do czasu. Wieści się szybciej roznoszą od wiatru.

KOŚCIELNY: Pięknie śpiewają na chwałę ukrzyżowanej Krewety. A wy? Nawet nie wiem, kim jesteście. Gdzie indziej idźcie.

SIOSTRA ZAKONNA: Ale co tam ministrant, co tam tłum wygłodniałych Alienów. A ja? Co ze mną?... Gotuję, piorę, prasuję. Ceruję, sprzątam, zakupy robię – świątek i piątek. Czasami odnoszę wrażenie, że jestem żółwią, która dźwiga cały kościół na Ziemi. Za grosz wdzięczności. Siedź w bocznej nawie i klep różaniec. Kościelny się szarogęsi, młody biskup z proboszczem uprawiają...

MINISTRANT: Seks? No, błagam. Choć to częste, to jednak...

SIOSTRA ZAKONNA: Nie, nie. Jak to mówi młodzież... aha, uprawiają lans, w zakrystii od godziny się laszczą. I jeszcze ci wierni – nowi, dziwni jacyś. Ciasno.

KOŚCIELNY: Możecie z zewnątrz, z daleka oglądać. O, cichnie śpiew, bo ksiądz proboszcz z młodym biskupem wychodzą z zakrystii.

SIOSTRA ZAKONNA: Gołym okiem widać, że siedzimy na tykającej bombie. Ale co tam ja. Głupia siostra zakonna. Ja stara baba, co może sobie gadać jak dziad do obrazu.

MINISTRANT: Rzeczywiście, coś majaczy na końcu ulicy. Jakieś twarze szare, brzydkie, dałnowate i trupie. Śniade i Czarne. Skośnookie i mongoidalnie. Mnóstwo, mnóstwo postaci. Idą w naszą stronę, więc trzeba się spieszyć. Już dzwonię na modlitwę południową. Czas na hymn i orację, czas na psalmodię.

OCHRONIARZ BARU: Ani kroku dalej. Wypierdalać.

KSIĄDZ PROBOSZCZ: W imię Młodego Biskupa! Niech będzie pochwalona Święta Kreweta.

GRUPA WIERNYCH: -----

MINISTRANT, KOŚCIELNY, SIOSTRA ZAKONNA: Na wieki, wieków, amen.

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Umiłowani w duszy i ciała kulinarnym haj lajfie! Siostry i bracia! Wybraliśmy was – jedynych godnych naszego pokarmu. On, młody biskup, was nakarmi! Ja będę koncelebrował. Bo oto dajemy wam strawę nowego stulecia, która stanie się twierdzą. Bierzcie i jedzcie. Ekscelencjo, czas zaczynać.

MŁODY BISKUP: Reedei, elejson

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Heterocarpus elejson, Reedei, elejson

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Kreweto, usłysz nas.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Kreweto, wysłuchaj nas.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Matko z wód słodkich i słonych.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Dziewięcionoga Pani.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Królowo frutti di mare.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Carideo cudowna.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Skorupiakowa dziewico.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Oazo hipsterów.



KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Nadziejo biednych, iluzjo nowobogackich.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Gwiazdo Michelina.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Krewetko bałtycka i atlantycka.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Garnelo wiekuista.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Psychoto nieskończona.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Kreweto z truflą i mleczkiem kokosa.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Kreweto kurkumowa i kardamonowa.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Kreweto w grejpfrutowej sałatce

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Kreweto z trawą cytrynową i kroplą winiaku

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Krewetko marynowana w zielonej herbacie

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Bądź nam sycąca i lekkostrawna

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Przepuść nam, Carideo.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Bądź nam przystawką i głównym daniem.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wysłuchaj nas, Carideo.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Od biedy i nędzy.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Od chamów i złego smaku.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw, nas Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Od alienów, brudasów, odmieńców.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw, nas Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Od podjadania nocnego.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Od kalorycznej bomby golonki.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Od fastfoodowych artefaktów.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MINISTRANT: Ministrant zerka ze zgrozą na siostrę zakonną. Siostra zakonna zerka ze zgrozą na ministranta.

OCHRONIARZ BARU: Ich spojrzenia spotykają się w pół drogi: między ołtarzem a boczną nawą, gdzie rzędzie dym z dyndającego kadzidła.

SIOSTRA ZAKONNA: Nie tak to wszystko miało wyglądać.

MINISTRANT: To nie tylko w głowie, ale i w brzuchu się nie mieści. A oni żrą i żrą, i nic po nich nie widać. Powinni rozpęknąć się z przejedzenia.

SIOSTRA ZAKONNA: Orgia podniebieniowa. Bezkarna, bez śladu nażarcia.

MINISTRANT: Ile jeszcze mogą wchłonąć?...

KOŚCIELNY: Poskutkowało. Alieny przestępują z nogi na nogę. Pierwszy raz słyszą taką mszę.

MŁODY BISKUP: Przez pancerzyk Twój odłupany.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Przez ofiarę wyciągniętego jelitka.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Przez wąsy twe czułkowate.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Przez śmierć na grillu i gotowanie na parze.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Przez tortury okrutne domorosłych kucharzy.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

MŁODY BISKUP: Przez promocyjną hańbę w Biedronkach i Lidlach.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Przez wstręt konserwatystów i ignorantów.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wybaw nas, Kreweto.

GRUPA WIERNYCH: -----

KOŚCIELNY: W głowie kościelnego pojawia się mały obłoczek myśli: na razie się boją i nie podchodzą. Ale z czasem. Kto wie? Kto wie?...

MINISTRANT: No, nie! Normalny człowiek dawno był pękł. A oni więcej i więcej. Jak żyję, takiej mszy nie widziałem. Apage! Apage!

SIOSTRA ZAKONNA: Dziwisz się? Stworzeni do żarcia. Sakramentalne obżarstwo.

MINISTRANT: Gdzie się podziała uboga krewetka w stajence betlejemskiej? Gdzie umiar ewangelijnej strawy? Co robić? Co począć?

SIOSTRA ZAKONNA: Zbliża się koniec naszej religii. Poznać to po nadmiarze, po dekadencekij litanii. I głosach z ulicy. Oni chcą naszej mszy.

KOŚCIELNY: Ech, zamknijcież się! Moja w tym głowa, żeby barbaria nie weszła. Kontemplować, medytować.

MŁODY BISKUP: Kreweto, która gładzisz bulimię z anoreksją.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Przepuść nam, Carideo.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Kreweto, która gładzisz bulimię z anoreksją.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Wysłuchaj nas, Carideo.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Kreweto, która gładzisz bulimię z anoreksją.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Zmiłuj się nad nami, Carideo.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Kreweto, usłysz nas.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Kreweto, wysłuchaj nas.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Wywyższyłaś nas krwią swoją, Carideo.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT: I  
uczyniłaś z naszej wiary religię powszechną.

GRUPA WIERNYCH: -----

MŁODY BISKUP: Módlmy się. Królewska Kreweto, daj nam, prosimy, uczucie boskiej sytości i chroń nas od biedy doczesnej, abyśmy smakiem Twym radowali się aż do wypełnienia żołądków. Przez Carideę, Panią jedyną. Na wieki wieków.

KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY, MINISTRANT:  
Amen.

GRUPA WIERNYCH: -----

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Umiłowani siostry i bracia! Ofiara skończona. Ale nie wychodźcie, to na dzisiaj nie koniec. Zaprawdę, powiadam wam, wraz z zachodem słońca, odprawimy nieszpory. Po nich kompletę.

MINISTRANT: Sen, mara! Kreweta, wiara!... Dlaczego nie może być tak jak dawniej.

SIOSTRA ZAKONNA: To raj staje się piekłem, a piekło rajem. O to się modliliśmy.

6.

OCHRONIARZ BARU: W części kuchennej – pobojuwisko, jakby w barze zjawili się Jeźdźcy Apokalipsy.

WŁAŚCICIEL BARU: Syf, sjesta i sybaryty senność. Całe szczęście, odeszli.

OCHRONIARZ BARU: Odeszli, żeby powrócić. Tymczasem w zlewie – pagody brudnych talerzy, na ladzie – noże i łyżki w nieładzie, podobne do srebrzystych bierek? Kuchenka – pełna zapieczonych krost i liszajów. Po podłodze, niczym stłuczone bombki, walają się połyskliwe pancerze krewetek. Pokrywki na stalowych i niklowane garnkach wyglądają niczym krzywo nasunięte kaszkiety. A jeszcze i plamy po winie czerwonym, jakby w kuchni grasował psychopata-morderca. Mnóstwo okruchów, odpadków, które uzbierałyby się w cud Jezusowy z dwunastoma koszami.

WŁAŚCICIEL BARU: Nikt tu nie myśli na razie o teście białej rękawiczki.

OCHRONIARZ BARU: Ochroniarz baru nie kryje zdziwienia, że tak sprawnie włada metaforą. Cholera, jak jakiś Hakawati, mistrz opowieści, czy co?

WŁAŚCICIEL BARU: Dałem im czas do kolacji, żeby wrócił porządek.

OCHRONIARZ BARU: Na sali, na dwóch, złączonych stolikach młody szef kuchni z właścicielem baru. Jeden sjestuje na piersiach drugiego, w niedbałej pozycji kochanków.

WŁAŚCICIEL BARU: Jestem w siódmym niebie. Moje niebo wybrukowane jest wyjedzonymi do czysta talerzami. Wydaliśmy wszystkie przystawki, pierwsze i drugie dania, deserów zostało ze dwa, nie więcej. Kocham cię!

MŁODY SZEFE KUCHNI: Popieść mnie w piętę i pod pępkiem.

WŁAŚCICIEL BARU: Tak, tak, oczywiście, pięta, pępek, pępuszek. Nabieraj siłę, odpoczywaj przed wydaniem kolacji. Gdzie były szef i kucharka?

OCHRONIARZ BARU: Mieli powiedziane, żeby popuszczają klientów. Puszczają więc po niebie. Dmuchane lale uwiązane na sznurkach wyglądają niczym bajeczne latawce.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Błagam. Sjesta. Senność. Czilałczik. Gadajcie ciszej, albo przenieście gadanie na zewnątrz.

WŁAŚCICIEL BARU: Tak, już, oczywiście. Pępek. Ani słowa więcej.

OCHRONIARZ BARU: Gadanie przenosi się na zewnątrz baru.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Te lale dmuchane... Były szef kuchni ma poczucie niedorzeczności... Jakbym sprzedawał balony jarmarczne...

KUCHARKA: Albo zeppelin-y-zabawki, statki podniebne o ludzkich kształtach. Trzymaj mocniej. No, trzymaj, bo ci odleczą.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Słuchaj, nie dam rady. Pierogi, barszcze, devolay'e, owszem. Ale krewetki nigdy nie były moim konikiem... Mam wstręt. Długo tak nie pociągnę. I jeszcze młody szef kuchni na moim miejscu...

KUCHARKA: Ściągaj, ściągaj na lewo, bo nam się zaplączą... Dobrze, że dzisiaj nie wieje. Przepraszam, co mówiłeś?

BYŁY SZEFE KUCHNI: Nasz bar zmierza w niedobrym kierunku.

KUCHARKA: To odruch obronny.



BYŁY SZEFE KUCHNI: Mam zaprzeczyć wszystkiemu, co było naszą kuchnią?

KUCHARKA: Eee tam, dramatyzujesz. Ja trzydzieści lat sobie zaprzeczam i żyję. Jak byłeś szefem kuchni, nic ci nie przeszkadzało. A teraz, co? Troska o losy baru?... Dla was, kucharzy, kuchnia to kwestia władzy. Tu cię boli, kolego po fachu.

BYŁY SZEFE KUCHNI: A to to dmuchane? Nie umiem dla nich gotować. Były szef kuchni pociąga nerwowo sznurkami. Cholera jasna, zaczepiła się.

KUCHARKA: Zaczyna się siąpić. Z rozerwanego cumulusa sypie się mokry puch... Tak... Niedługo ochroniarz będzie je musiał jak psy odganiać od drzwi.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Rzeczywiście, pada. Nie chciałabyś, jak kiedyś? Po staremu?

KUCHARKA: A co to znaczy „po staremu”? Dziś dawnych klientów już nie ma. Nie ma robotników po nocnej zmianie, zabiedzonych inteligentów, lokalnych poetów... Oj, zaczepiła się o chmury. Poczekaj, ściągnę, bo zrobi dziurę i spadnie deszcz.

BYŁY SZEFE KUCHNI: A gdyby tak... A gdyby tak... to ty?

KUCHARKA: Nie gadaj mi tu partykułami!

BYŁY SZEFE KUCHNI: Dobra, na gastronomii zjadłaś zęby, prawda? Myślisz, że nie wiem, co robisz w domu?

KUCHARKA: Co?! Co robię, co?! Zwykło się uważać, że pytanie kobiety o jej prywatność jest równoznacznie z pytaniem o miesiączkę, podpaskę, dni niepłodne lub zagrożone ciążą. Stąpasz po cienkim lodzie.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Spokojnie.

KUCHARKA: Zaraz trzasnę...

BYŁY SZEFE KUCHNI: Ja o czym innym.

KUCHARKA: To gadaj jaśniej.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Picheisz te swoje wiedźmowate potrawy... Ty czarownica kuchenna jesteś. Ale hobbystyczna, prywatna, domowo-święteczna, dla siebie.

KUCHARKA: Zwodzisz i bujasz! Bez znaczenia – były, obecny szef. Uważaj, cumulus! Zobacz, a za nim, jaki piękny Cumulonimbus. Coraz mocniej pada. Wejźmy do środka.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Ależ skąd! Pomyśl: a gdyby tak główna kucharka? Co?... Po tylu latach. A gdyby Twoja prywatność zastąpiła kuchenną poprawność?

KUCHARKA: Co moje – wara! W swoich sprawach jestem kompletnie sprywatyzowana. Nie umiem nawet sobie wyobrazić, że mogłabym inaczej... Przez takich jak ty. Ojców, wujów, kolegów z pracy.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Najwyższy czas, żeby to... Przez własne, prywatne pichcenie.

KUCHARKA: Kucharka bije się przez dłuższą chwilę z własnymi myślami, ściągając sznurki z lalami ku sobie. Bijatyka myśli jest nierozstrzygnięta: no, sama nie wiem... No, nie wiem... A tłum Alienów?...

BYŁY SZEFE KUCHNI: Zostaniesz ich... Ich matką kuchenną będziesz. Chociaż spróbuj. Co masz do stracenia? Nic.

KUCHARKA: Myślisz, że ktoś nad nimi zapanuje? To się rozleje, zapłonie... Wszędzie.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Są tylko głodni. Chcą coś na ząb...

KUCHARKA: Może, może. Strach ma głodne oczy. Człowiek od tego strachu głupieje. A właściciel baru, a młody szef kuchni?...

BYŁY SZEFE KUCHNI: Zostaw ich mnie. O, lepiej ściągajmy lale do środka. Coraz mocniej leje i coś znowu zaczyna się głębić na końcu ulicy...

KUCHARKA: Nie wiem. W mojej głowie wątpliwości jak grzyby pod deszczu, jak drożdże. Bo gdyby jednak... Bo gdyby na życie się swoje zamachnąć?... Pierwszy raz nim porządnie potrząsnąć, postawić na głowie... Czy to w ogóle możliwe?... Dmuchane lale wpływają stadkami do baru. Pachną mokrym niebem.

7.

CHOMIK DŹASTIN: Zagadka: co jest gwarancją spokoju chomika?... Odpowiedź: odgadnąć zachciankę właściciela. Nie trzeba się bać, choćby to była najbardziej dziwna

zachcianka... Tak więc: w mojej lewej łapce – pejcz i bat, w prawej – różowe, pluszowe kajdanki.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Metaliczny dźwięk podnosi powiekę przewodniczącego jury. Obudź się, no, obudź się, ty... Jest Dżastin. Chomik. Ostatni.

CHOMIK DŻASTIN: Chomik Dżastin szczyrzy białe ząbki w złowrogim uśmiechu. Dzisiaj we trójkę...

CZŁONEK JURY: Ależ miałem sen! Śniłem, że kochałem się z tą twoją chomiczką. I ty też. My, razem, geometrycznie. Ale nie cieszyła się naszymi ciałami. Nie chciała nic dać od siebie.

PRZEWODNICZĄCY: Jak to chomik zwany babą. Fochy, fummy i fanaberie. Nie dogodzisz. Wystarczy dotknąć, a już afera.

CHOMIK DŻASTIN: To w co gramy, w kogo bawimy się, szanowny przewodniczący jury?... W księdza i niegrzecznych uczniów na katechezie? W sierotę Mariana i dwóch krasnoludków? W drwali, co na wyrębie spotkali chłopca? No, gadaj! Przecież uwielbiasz wybierać!...

CZŁONEK JURY: Co jest? Dlaczego on na ciebie... Pozwalasz mu krzyżeć?

CHOMIK DŻASTIN: Wszystko widziałem: pederasty, zbrodniecy! Żeby tak razem z tą małą. Ile ona mogła mieć lat?... Chomik Dżastin da zaraz po dupach! No, ściągając majtasy, rączki złączyć, przed siebie.

PRZEWODNICZĄCY: Z Dżastinem nie ma żartów. W sierotę Mariana zagrajmy. Ty Marian, my dwa krasnoludki.

CZŁONEK JURY: Ale że jak?...

CHOMIK DŻASTIN: Ja sierot Marian cały dzień z nosem w garach. A ciebie gdzie nosi, gdzie badziasz się do późnej nocy, co? Wybieraj, chcesz być skutny czy wychłostany. Już ty zapomnisz o nudzie! Już ci ten spleen wyjdzie bokiem. Rączki!

CZŁONEK JURY: Nic nie rozumiem.

CHOMIK DŻASTIN: Oj, rozumiesz. To taka gra.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Znaczonymi kartami. A ja, patrz! A ja tak! – spodnie w podłogę, czarno-różowe majtasy na fotel. Zobacz, teraz ty. Nie wstydz się. Lepiej rób, co każe. Jesteśmy niedobrymi krasnoludkami, za mało poświęcamy Marianowi uwagi.

CHOMIK DŹASTIN: Niedobry członek jury! Niedobry krasnoludek. Leń, babiartz! Niedobry! Powtórz! Przesylabizuj!

CZŁONEK JURY: Członek jury przestaje panować nad własnym językiem i ciałem. To niebezpieczna przyczyna wielu nieszczęść. Ale teraz czuje nadchodzącą falę. Nie do powstrzymania. Rozkosz. Powtarza: n i e – d o b r y ... N i e – d o b r y...

CHOMIK DŹASTIN: A masz po łapkach, po sutkach, po buźce. Ty... Ty, niedobry.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Po dupach, Marian! Po dupach krasnoludkowych nas wal!

CHOMIK DŹASTIN: Ty tylko o jednym, analny karle! A kto całymi dniami czeka z obiadami i kolacjami aż w trupa stygną? A kto żar wznieca domowego ogniska? Przepróż, przepróż, ty męska bladzio w czerwonej czapce! Ty, cichodaju karzelkowaty!

PRZEWODNICZĄCY JURY: To boli! Przepraszam, już więcej nie będę.

CHOMIK DŹASTIN: Obaj wiemy, że będziesz. Byle okazja i urwiesz się znowu ze smyczy. Wina i kara – na tym wspiera się ta cała bajka. Chcesz mocniej, masz! A ty, co? Chomik Dżastin widzi, że członka jury można potraktować jak najgorsze ściervo.

CZŁONEK JURY: To niepojęte. Wreszcie coś c z u j ę ! Jako k r a s n o l u d e k. Wreszcie, nareszcie ż y ć się chce. Nie przestawaj, sierocie Marianie!

CHOMIK DŹASTIN: Za dobrze ze mną macie! Wszystko pod nos podstawione. Już ja wam urządzę sado-maso! Jak sierot Marian będę waszym Fritzlem!

CZŁONEK JURY: Nie oszczędzaj się, ani nas! Teraz stać mnie na najgorszy patos. Ale czasami patosu nam trzeba. Uwaga: jam częścią tej siły, co wiecznego maso pragnąc, wieczne sado czyni! Mój Boże, słyszeliście? Powiedziałem to!

PRZEWODNICZĄCY JURY: Hej, niech któryś mnie walnie w ten głupi, nalany ryj. W tę mordę zadowolonego liliputa, który uważa, że do niego należy cały świat. Należy się!

CHOMIK DŹASTIN: Walcie się, samce, walcie jeden drugiego. Śmiało! Naprzemiennie. Ty – w niego, on – w ciebie.

CZŁONEK JURY: Po gębach!

PRZEWODNICZĄCY JURY: Po jajach!

CHOMIK DŹASTIN: Gołymi rękami, zębami. Biczem i pejczem. Cudowny wieczór!

CZŁONEK JURY: Jeszcze! Jeszcze! Zerznijcie mnie, zerznijcie na sucho.

CHOMIK DŹASTIN: Ty, krasnoludku, będę twoim sierotem Marianem do końca twych dni. Źle się zachowasz: kara! Bo sam powiedz: w twoich rękach kariery? Wyznaczasz zwycięzców, wskazujesz przegranych? Ty? Chyba kpisz!... Jakim prawem?! Zaraz ci wyrwę te kudły...

PRZEWODNICZĄCY JURY: Chomik Dżastin jest zły, ale sierot Marian to jest dopiero monstrum!

CHOMIK DŹASTIN: Wystarczyło zacząć. Numer z Marianem zawsze się sprawdza. Teraz szarpia, kąsają i rzną się wzajemnie. Szczęśliwi. Przewodniczący jury i członek jury. Szanowani obywatele republiki nudy.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Zrób mi jakąś krzywdę, ty męska szmato! Co, boisz się? Nie, nie boisz się, widzę to. A to znasz? Posuń mnie, posuń! Bo cię posunę!

CZŁONEK JURY: Pogryź mnie! Chcę bólu z twych zębów i warg! No, na co czekasz? Znam to: posuń mnie, posuń, bo cię posunę!

CHOMIK DŹASTIN: Można ich samych zostawić. Aż spłyną potem, nasieniem, zmęczeniem. Aż przysną w pozycji sześć-dziewięć, jak dwie larwy w ciasnym kokonie, z którego wyfrunie ćma-sen. Zostawiam im pejcz i bacik. Kluczyk od kajdanek kładę na stół i wracam do klatki. Gdy oni tam, to drą się, to pojękują, a nawet płaczą, chomik Dżastin przegryza ziarna pszenicy. Pod pazurkami ma strzępki ludzkiej skóry.

8.

KOŚCIELNY: Kościół już pełen, nikt więcej nie wejdzie. Odejdźcie Alieny, odejdźcie odmieńcy. Kiedy indziej, może jutro, pojutrze. Szpilki nie ma gdzie wepchnąć.

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Umiłowani w Świętej Krewecie! Bądźcie pochwaleni!

SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY: Na wieki wieków przez wieki.

GRUPA WIERNYCH: -----

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Zebraliśmy się na nieszporych, by chwalić Świętą Krewetę i kończący się dzień... Zaraz, zaraz: a gdzie ministrant? Gdzie nasz młodo-stary sługa?

KOŚCIELNY: Nie wiem, jeszcze niedawno kręcił się po kościele. Poszukać?

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Trzeba was krócej trzymać. Wstyd przed wiernymi. Kto ich obsłuży?

SIOSTRA ZAKONNA: Ja mogę, póki nie przyjdzie. Kościelny pomoże. Damy radę.

MŁODY BISKUP: Młody biskup jak każdy młody jest niecierpliwy. Długo mam jeszcze czekać? Co za porządki... To nieszpory czy klub dyskusyjny?

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Niechaj Magnificencja wybaczy! Zaczynamy. W imię Krewety najśłodszej, czas na Magnificat!

KOŚCIELNY: Młody biskup przyklęka przed ołtarzem Świętej Krewety i wznosi ku niej pieśń gregoriańską. Buzie wiernych otwarte, złaknione nieszporewej stawy.

MŁODY BISKUP: Uwielbiaj, duszo moja, sławę Pani mojej  
 Krewety świętej pancierz chwał dobrej, cudownej.  
 Ona zbawienie nasze, jedyna otucha,  
 Ona rozkoszą serca i weselem ducha.  
 Bo mile przyjąć chciała swej sługi pokorę,  
 Łaskawym okiem patrzy na posiłków górę.  
 Dlatego wszyscy wierni, co w barze zasiądą  
 Odtąd błogosławioną nazywać cię będą.  
 Bo wielkimi darami uczczona Kreweta,  
 Której smak nieprzebrany, święty i sycący.  
 Którzy jej jedzą mięso, szczęśliwi na wieki,  
 Bo z nimi miłosierdzie z rodu ród daleki.  
 Świata wskazała moc swych blaszkowatych skrzeli,  
 Zniszczyła durne myśli głów biedą nadętych.  
 Stare menu zniszczyła i jego włodarzy,  
 By młody biskup picheił, dusił, młody smażył.  
 Nowych wiernych nasycił i w dobra spanoszył,  
 Byłych kucharzy z niczym puścił i rozproszył...

KSIĄDZ PROBOSZCZ: A teraz głośno, donośnie, razem! Pomóżmy Jego Magnificencji. Wszystkie nawy śpiewają z nami. I raz, i dwa, i trzy:

MŁODY BISKUP, KSIĄDZ PROBOSZCZ, SIOSTRA ZAKONNA, KOŚCIELNY:

Wszyscy wyśpiewujmy Heterocarpusowi,  
Chwała Świętej Krewecie i w winie czerwonym.  
Jak jest od dzisiaj, tak zawsze niech smaczna będzie,  
Teraz i na wiek wieków niechaj słynie wszędzie.

GRUPA WIERNYCH: -----

-----  
-----  
-----

KOŚCIELNY: Wszę-ędzie... Wszę-ędzie-ędzie-ędzie... Nieziemskie wrażenie...

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Potęga! Pełen respekt. Nikt nie odważy się zakłócić liturgii.

SIOSTRA ZAKONNA: Siostra zakonna czuje, że musi się odezwać. Lecz język. Nagle język rozsadza jej gardło. Jakby był rybą, połyskliwą, trzepoczącą. Srebrzysta łuska rani podniebienie. Płetwa wystaje z ust.

KOŚCIELNY: Siostra zakonna krztusi się, wydając z siebie ciche onomatopeje. A tobie co, siostrze? Ejże, no!

SIOSTRA ZAKONNA: Tylko znak dłonią, że nie może nic, a nic... Chce coś powiedzieć. Nawet wie dokładnie, co, ale nie... Jej język jest rybą. Wypycha całe usta. W ustach kamień – twarde milczenie.

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Siostrze, proszę się zachowywać. Nie czas na pantomimę. Metafizycznie trzymam obcych na dystans – naszym bogactwem i młodym biskupem.

SIOSTRA ZAKONNA: Siostra zakonna pierwszy raz czuje rybę w ustach... I to tak wyraźnie. Nie mówi nic. Tylko te onomatopeje coraz cichsze i cichsze.

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Umiłowani! Nasi wierni, biorący z człowieka tylko to, co najlepsze i nam uległe. Syćcie się słowami młodego biskupa i po wsze czasy wielbicie Świętą Krewetę! No, jeszcze raz, żeby Alieny nie przekroczyły bram kościelnych. Jego Magnificencjo, wszystkie nawy razem z nami:

MŁODY BISKUP, KSIĄDZ PROBOSZCZ, KOŚCIELNY:

Wszyscy wyśpiewujmy Heterocarpusowi,  
Chwała Świętej Krewecie i w winie czerwonym.  
Jak jest od dzisiaj, tak zawsze niech smaczna będzie,  
Teraz i na wiek wieków niechaj słynie wszędzie.

GRUPA WIERNYCH: -----

-----  
-----  
-----

SIOSTRA ZAKONNA: Siostra zakonna nerwowo porusza głową, ustami, rękoma.

KSIĄDZ PROBOSZCZ: O co znowu chodzi?

KOŚCIELNY: Wyprowadzić?

SIOSTRA ZAKONNA: Czego nie można powiedzieć, trzeba pokazać. Tam, drzwi!

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Ale kto, ale co, gdzie?

SIOSTRA ZAKONNA: ...no, że tam, że w drzwiach stoi. Że znalazł się ministrant. W rękę... uwaga!, uwaga!, ma nóż...

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Kreweto najświętsza, truflowo-kardamonowa!...

KOŚCIELNY: Ma nóż! Uwaga, uwaga, nóż w dłoni!...

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Kreweto camembertowa!... Chrońcie młodego biskupa!

KOŚCIELNY: Jestem, biegnę! Choćbym miał własną piersią!

MŁODY BISKUP: Niech tylko mnie tknie. Przeklnę go w imię naszej Krewety. Anatemą poczęstuję. Wykluczę! Potępię!

SIOSTRA ZAKONNA: Na zewnątrz, bardzo blisko, na jeden rzut ucha, jazgot. Pomruki mieszają się z lamentami, prośby wystrzeliwiają ponad pogroźkami.

KOŚCIELNY: Gęby zapadnięte, mongoidalne, przytułkowe. Wprawdzie nikt ich nie widział z bliska, ale muszą być takie. No bo jakże by, jakże inaczej?

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Ty Judaszu!



MINISTRANT: Nie doczekacie komplety...

KSIĄDZ PROBOSZCZ: Ani kroku dalej! Będziesz się smażył w rondlu na wieki!  
Módlmy się, módlmy. Nadszedł czas próby.

MŁODY BISKUP: Wszyscy wyśpiewujmy Heterocarpusowi,  
Chwała Świętej Krewecie i w winie czerwonym...

MINISTRANT: Róbcie rachunek sumienia.

9.

CZŁONEK JURY: Gdyby nie płaczliwy śpiew Samanty, można by uznać, że w wynajętym, pustym mieszkaniu panuje cisza. Samanta próbuje zetrzeć krew z brzucha i ud. Obok Dżastin przegryza pszenicę, poza ziarnem zdaje się świata nie widzieć. Pod ścianą, w kołowrotku wisi Maksi Wład. Na szyi pętla z paska od spodni, łapki zeszywniałe, wyciągnięte jak struna. Członek jury w fotelu, przewodniczący jury przy oknie. Uchyła lekko zasłonę. Nie szkoda ci tego chomika?... Śmieszny był. Chyba trochę przesadziliśmy... Nie powinienem tyle pić. Już nie ta głowa – odzywa się członek jury. Głowa. Boli go głowa.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Chodź, zobacz. Będziemy mieli tyle chomików, ile dusza zapagnie. Setki, tysiące. Co noc, inny. Chodź, słyszysz? Zobacz. Biegają do baru na końcu ulicy. Krzyczą, proszą, wołają. Będziemy do końca życia mogli wybierać. Młode chomiki i całkiem dojrzałe. Z długim, krótkim futerkiem. Brązowe, mieszane, w różnych odmianach. Cisną się do drzwi. Pewnie chcą jeść.

CZŁONEK JURY: Do tego, jak mu tam... do Świętej Krewety? Słyszałem, że dobre zarcie. Ale Maksi Wład trochę żal jednak, przyznaj.

PRZEWODNICZĄCY JURY: Gdyby ten jazgot i zgiełk za oknem, budził niepokój...

CZŁONEK JURY: Ale Maksi Wład... Polubiłem go...

PRZEWODNICZĄCY JURY: Gdyby ten jazgot i zgiełk budził szczerzy niepokój, może nasze wybory inaczej by się potoczyły. Nabrałyby sensu nasze tęsknoty i codzienne pragnienia. Więcej znaczyłyby miłość, gwałtownie wzrosłaby cena czułości...

CZŁONEK JURY: Nie rozumiem... Nic...

PRZEWODNICZĄCY JURY: W pustkę tego wynajętego mieszkania wpisane są nasze imiona. Kiedyś, kiedy był jeszcze czas, nie nazwaliśmy skurwielami skurwieli, którzy uczynili nas zbyt łatwej sztuki wyboru. Wzięliśmy więc śmiało, bez obaw, wszystko, co nam się należało i nie: tanie bogactwo, proste hierarchie, poczucie stabilizacji. Zwłaszcza to, co się nie należało braliśmy chętnie.

CZŁONEK JURY: Nic nie... Poczekaj... Ja nie...

PRZEWODNICZĄCY JURY: Poczucie przyzwoitości zagłuszyła kwestia smaku. Sięgnęliśmy szczytów, ale nie sięgnęliśmy podstaw. Podstawą jest pustka. Wokół pustki wzniesiono mury restauracji i barów, jak ten na dole. Nad pustką rozpięto łuki kościołów. Ze wszystkich stron świata ciągną do nich chomiki, by nazreć się pustki. Wychudzone chomiki rywalizują między sobą o okruch pustki. A opanowani skurwiele, tacy jak my, doskonalimy sztukę wyboru. Przesuwamy granice na mapach pustki, różne barwy pustki malujemy na flagach naszych zbyt rozwiniętych gustów. Nadajemy pustce tysiące pięknych imion. Nadymamy się i puszmy w pustych, wynajętych mieszkaniach, w strzeżonych państwach, w strzeżonych osiedlach, strzeżonych snach. W miejsce jednego chomika, pojawią się dziesiątki kolejnych. I wiesz, co? Wiesz? Kiedy słyszę słowo „chomik”, zamiast bezbronych, otępiałych ludzi, widzę poczciwe zwierzątko, jak wywija fikołki na kołowrotku...

CZŁONEK JURY: Ale co jest?... Dlaczego ty, jakoś poważnie, nie swoim głosem?...

PRZEWODNICZĄCY JURY: Jesteśmy trupami. Bo pustka przegląda się w naszych oczodołach, jeśli nie odbija się w nich akurat nienawiść... Przewodniczący jury zaczyna się śmiać.

CZŁONEK JURY: Uff, to taka gra twoja, taka zabawa... Żart.

PRZEWODNICZĄCY: A pewnie. Pieprzenie takie. Takie nic. Chodź, wyniesiemy to truchło, nim zacznie śmierdzieć. Przy okazji podejźmy do baru... Coś sobie znajdziesz.

10.

MŁODY SZEFEK KUCHNI: Późny wieczór, gwieździsty zmierzch. Czas pierwszych paciery, pidżam i melatoniny w tabletkach. Czas kołysanek nuconych przez wielocalowe plazmy. Bar mleczny. Atmosfera gęsta jak pomidorowy krem.

OCHRONIARZ BARU: Koniec dnia. Modlitwa co poniektórych została wysłuchana. Na podłodze – sflaczałe lale. Na ścianie kuchennej ślad po ukrzyżowanej Krewecie.

WŁAŚCICIEL BARU: Moje lale, lale dmuchane. Nigdy ci tego nie wybaczę!  
Zniszczyłeś, zaprzepaściłeś naszą szansę. A teraz co?

BYŁY SZEFE KUCHNI: Były szef kuchni trzyma w ręku nóż. Ma wszystkich na oku.  
Jeden nieopatrzny ruch...

OCHRONIARZ BARU: Nie jesteśmy klasą średnią.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Ani tym bardziej inteligencją. Jednak skądś – nie wiedzieć skąd – wiemy, że nóż jest strzelbą Czechowa. Musi zadziałać.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Gotować, gotować. Bo gardło poderżnę albo rozpruję brzuch.  
Powiem ci, co teraz: ratuję ten bar.

MŁODY SZEFE KUCHNI: A przepis? Ktoś ma lepszy od mojej Krewety?

BYŁY SZEFE KUCHNI: Ona. Od kucharki się ucz. Ona teraz szefowa, główna.

KUCHARKA: Kucharka ma zaciśnięte usta. Nie może nikomu powiedzieć, czy dobrze się stało, czy bardzo źle. Wszyscy się patrzą, wszyscy obserwują każdy jej ruch. Palce drżą, co chwila coś leci z rąk.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Dość już mam bajek o rewolucjach, wraca pieprz i sól. Oto i nasza stara utopia. Wykarcić wszystkich potrzebujących. Nawet, jeśli się nie uda, trzeba próbować. Przed wejściem tłum. Tutejszych, przyjezdnych. Z daleka i z bliska.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Dla wszystkich nie starczy.

OCHRONIARZ BARU: Wszyscy się nie pomieszczą.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Pilnuj, żeby wszedł każdy, kto jest w potrzebie. Mów: wszystkie stoliki wolne. Mów: zapraszamy, znajdzie się miejsce.

WŁAŚCICIEL BARU: Miało być pięknie, a takie słabe zakończenie. Wysilone, pretensjonalne, jak z taniej dramy... Ech, moje lale, lale kochane. A na nią nie mogę patrzeć! Jej kuchenny fach ma coś z...

MŁODY SZEFE KUCHNI: Niesmacznego dzieciństwa?

OCHRONIARZ BARU: Zapomnianych garkuchni?

BYŁY SZEFE KUCHNI: Coś z wiedźmowego kotła!

OCHRONIARZ BARU: Nie da rady, to widać.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Wstyd, hańba, kanał! Co ona pichci, co w garnku miesza? Wie ktoś?

BYŁY SZEFE KUCHNI: Ty, młody! Ty, młody jeszcze jesteś. Uważaj. Na twoje miejsce, na jedno pstryknięcie i dziesięciu młodszych.

WŁAŚCICIEL BARU: Rzeczywiście: stary kucharz, stara utopia.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Och, zamknij się wreszcie. Bo posmakujesz ostrza. No, już patrzeć mi na nią i naśladować! Alieny walą do drzwi.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Albo od razu nas powyrzynają albo nażrą się, oswoją i...

OCHRONIARZ BARU: Wyjdzie na to samo.

BYŁY SZEFE KUCHNI: No, gotuj, stara kucharko! Nie przejmuj się nimi.

WŁAŚCICIEL BARU: No, krój, siekaj, mieszaj. Poczekaj, jak to szło: woda, mąka, sól, jajko? Jestem bardzo ciekawy.

OCHRONIARZ BARU: No, duś, piecz, marynuj i smaż. Będziemy ci patrzeć na ręce.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Dla całej zgrai brudasów. Czujesz tę odpowiedzialność? Musisz ją czuć.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Gotuj, gotuj, nasza wiedźmo kuchenna. Długo nie będą czekać. Jeśli nie możesz powiedzieć, pokazuj.

KUCHARKA: Kucharka ma zaciśnięte usta. Myśli: co trzeba zrobić, żeby odzyskać stare smaki ludzkości? Co trzeba zrobić, żeby przebłagać nędzę, biedę i głód? Getto nadmiaru wyrasta zawsze obok getta niedostatku.

WŁAŚCICIEL BARU: No, nie. Ani be, ani me. Niech ktoś zajrzy do garnka. Co tam się dusi?

BYŁY SZEFE KUCHNI: To twoje pięć minut. Czekalaś trzydzieści lat. Nie zawieźdź mnie.

KUCHARKA: Kucharka patrzy straceńczo na byłego szefa, na właściciela baru, na ochroniarza i na młodego. Kto zdobędzie się na odwagę, żeby otworzyć drzwi? Szeroko, na oścież. Kucharka ma zaciśnięte usta, nikt jej nie słyszy.

BYŁY SZEFE KUCHNI: No, pokaż, napisz, nic nie rozumiem. Dalej! Jest garnek, w garnku woda i sól, tak? No, panowie działajcie.

KUCHARKA: Był kiedyś taki język, który nie poniżał i nie wywyższał, granicom nie dawał nazw. Był kiedyś język, który wszystkich ocalał...

BYŁY SZEFE KUCHNI: Do tego włoszczyzna? Tak? Błagam, mamy mało czasu.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Młody szef kuchni zagląda kucharce przez ramię: i kawałek jakiegoś mięsa. Zsiniałego mocno, ale to chyba. Coś jakby?...

OCHRONIARZ BARU: Na moje oko wołowina.

MŁODY SZEFE KUCHNI: E, nie znasz się. Na pewno nie. To coś innego.

KUCHARKA: Rozbudziliśmy zbyt wielki apetyt tych, którzy nawet nie podejrzewali, że mogą go mieć. Teraz im jest potrzebny, żeby nazwać swoje łaknienie.

BYŁY SZEFE KUCHNI: Co to za mięso? Daj znak, napisz. No, proszę!...

OCHRONIARZ BARU: Wieprzowe, pewnie też nie. Ale wałą, ale wałą! Zaraz rozleci się bar.

KUCHARKA: Wyrwaliśmy im język i kazaliśmy wierzyć, że ich śmierć otula wyłącznie cisza.

WŁAŚCICIEL BARU: No to sam już nie wiem.

MŁODY SZEFE BARU: Ja myślę... nie, to niemożliwe... nie wierzę...

BYŁY SZEFE KUCHNI: Pokaż... To jest to, o czym myślę? To dlatego te zaciśnięte usta?

OCHRONIARZ BARU: O, fuck, ale się urządziła! Kompletnie jej odbiło. Idiotka.

MŁODY SZEFE KUCHNI: Wariatka. Ale kiedy, jak, żeby tak nożem, ciachnąć. To ty?

BYŁY SZEFE KUCHNI: Nie... ja... ja nie wiem. Nie, na pewno. Ja nie chciałem, żeby tak... Wprost przeciwnie

WŁAŚCICIEL BARU: I co teraz? Co teraz? Masz swoją czarownicę, masz wiedźmę! Nie wyjdziemy stąd żywi! Rzeźnia będzie, nie bar!

MŁODY SZEFE KUCHNI: Zaraz rozpieprzą w drobny mak. I te gęby przyciśnięte do szyb. Zwierzęce, brzydkie. Zobaczcie. Gapią się. Ja bym ich wszystkich...

WŁAŚCICIEL BARU: Ty byś ich co?... Teraz to oni nas, kretynie... Nawet nie ma gdzie spieprzać. Nie znam innych barów niż ten.

OCHRONIARZ BARU: Świtu nie doczekamy. To będzie bardzo długa noc.

KUCHARKA: Kąciki ust nabiegają czerwienią. Jakby ktoś rozmazał pomadkę, jakby ktoś rozgniół szminkę na wargach. Wszystkie słowa, które należały do kucharki są martwe. Bez tej szminki usta kucharki byłyby sine, podobne do gotującego się kawałka mięsa... A więc język... Por i pietruszka. Żeby się najeść i nazwać swój głód. Kucharka miesza w garnku. Język. Marchewka i seler. Żeby zrozumieć i uwolnić się od pytania: czy możliwy jest lepszy świat? Jeszcze szczypta soli i pieprz – ruch palców układa się w bezdźwięczną modlitwę. Język. Język musi zmięknąć i oddzielić się od starych słów. Żeby w ciszy, usłyszeć obcy, zbawienny krzyk. Język. Kostka bulionu, odrobina ziół. Język. Żeby nigdy, ale to nigdy nie móc sobie wybaczyć.

Koniec